

Daily Hate

21 października 2013

Media są fundamentem i nieodłącznym elementem systemu politycznej demokracji, ale brak regulacji, erozja etyki oraz polityczne ambicje redaktorów powodują, że stają się destruktywną siłą zaniżającą poziom debaty publicznej.

Polityka, społeczeństwo i media – chociaż na pierwszy rzut oka to teoretycznie oddzielne kwestie, to jednak tworzą wspólnie praktycznie całą układankę współczesnej demokracji. Są trójkątem pochłaniającym niemal w całości rzeczywistość. Do tego wzajemnie na siebie oddziałują i inspirują się. Demokracja to ustrój polityczny, który aby sprawnie funkcjonować, potrzebuje kultury – dyskusji oraz wymiany myśli i idei.

W teorii swobodna wymiana poglądów kształtuje hipotezy i propozycje rozwiązań problemów, stając się paliwem dla przedstawicieli społeczeństwa do debat, kreowania programów politycznych oraz procesów legislacyjnych i rządzenia. Im więcej dyskusji, sporów i różnych propozycji, tym, znów teoretycznie, lepsze decyzje. Jednak aby koła demokratyczne toczyły się sprawnie, wymagana jest gotowość do wysłuchania tego, co mają do powiedzenia inni, akceptacja dowodów i praw logiki czy wreszcie ewentualna zmiana stanowiska, jeśli argumentacja oponentów jest bardziej sensowna. Jakość demokracji zależy bowiem od stopnia wzajemnego szacunku i przyjęcia do wiadomości, że bez względu na temperaturę debaty oponenti chcą jak najlepiej dla społeczeństwa, gospodarki i kraju.

Kiedy ta kultura demokratyczna upada, jak np. w Stanach Zjednoczonych, bądź – jak w Polsce – nie potrafi się wykształcić, debata publiczna staje się jałowa, zamieniając polityczny spór w agresywną walkę skłóconych plemion, których celem nie jest dobro wspólne, lecz zniszczenie przeciwnika za

wszelką cenę.

Dominują konfrontacje, osobiste urazy i animozje oraz wykluczający język. Debata politycznych oponentów zamienia się w bojowe ryki śmiertelnych wrogów, uniemożliwiając jakiegokolwiek porozumienie i psując demokrację. Ta konfrontacyjna kultura polityczna powoli wkracza również do Wielkiej Brytanii.

KŁY BRUKOWCÓW

Z konieczności polityczna argumentacja przekazywana jest przez media. W końcu dzisiaj zdecydowana większość informacji, jakie uzyskujemy, i to zarówno w kwestii przeszłości, jak i możliwych przyszłości, pochodzi bezpośrednio bądź pośrednio z mediów. Od pogody i kursów walut po analizy trendów politycznych, społecznych i gospodarczych – a od informacji, jakie uzyskujemy, zależą decyzje, jakie podejmujemy. Strumień faktów, opinii i komentarzy, który płynie z mediów, to jednak nie tylko informacje, to także najważniejsze i najsilniejsze spoiwo społeczne. To przez media buduje się wspólnota wiedzy o świecie, społeczna mapa poglądów i więzy łączących nas emocji. Media są różne i mają różne treści, ale bez względu na to, jakie reprezentują opcje, włączają nas do wspólnoty. Problem w tym, za pomocą jakich emocji to robią i do wspólnoty czego. Nie chodzi przecież tylko o wspólnotę wiedzy. Media tworzą także wspólnotę kultury, nie tylko jako kanał dostępu do sztuki, muzyki czy filmu, ale też jako przestrzeń, w której odbywa się istotna część kształtowania relacji międzyludzkich. Media, od kiedy stały się głównym narzędziem masowej komunikacji, mają bardzo istotny udział w propagowaniu stylów myślenia oraz wzorców zachowań. Tylko że współcześnie różnie z tym bywa.

Już Samuel Huntington ostrzegał, że załamanie się elitarniej kontroli nad mediami stanowi zagrożenie nie tylko dla kultury i relacji społecznych, ale też dla demokracji. Zanik takiej kontroli prowadzi bowiem do konfrontacyjnej kultury medialnej

i politycznej. Zwłaszcza w krajach śródziemnomorskich, wschodnioeuropejskich i w Stanach Zjednoczonych. Przez długi czas Wielka Brytania pomimo mocnej pozycji tabloidów opierała się tym trendom, znajdując się mimo wszystko bliżej medialnej kultury dominującej w krajach skandynawskich i w Niemczech. Prasa na Wyspach bywała krwiożercza, polemiki ostre, krytyka polityków bezpardonowa, ale pomimo szczerzenia medialnych kłów nie dochodziło do przegryzania politycznych tętnic. Czwarta władza nie tylko kontrolowała trzecią, ale trzymała ją mocno za gardło i w razie czego potrafiła je mocno ścisnąć, tamując dopływ politycznego tlenu. Nie przekraczała jednak granic. Nawet Rupert Murdoch – medialny imperator, właściciel „The Sun”, „The Times”, „The Sunday Times” i największej płatnej telewizji satelitarnej na świecie British Sky Broadcasting, który wpływał na brytyjską politykę, życie społeczne i gospodarcze, od ponad trzydziestu lat kreując i strącając z piedestału premierów i liderów politycznych – często uderzał zdradziecko lub nieczysto, ale nigdy poniżej pasa. Dopiero „Daily Mail”, atakując lidera Partii Pracy Eda Milibanda życiorysem i poglądami jego zmarłego ojca, wprowadził na brytyjski medialno-polityczny rynek nową, wątpliwą jakość, przekraczając tym samym cienką granicę między ostrym politycznym sporem a bezpardonową nienawiścią. I nie ma znaczenia, że bycie marksistą nie jest przecież zbrodnią, zaś napisanie w dzienniczku, że „Brytyjczycy są być może największymi nacjonalistami na świecie” trudno uznać za brak patriotyzmu.

BRYTYJSKI DZIADEK Z WEHRMACHTU

Dla lewej strony politycznego spektrum medialna asymetria brytyjskiego rynku medialnego zdominowanego przez konserwatywne pisma jest sporym problemem. Od dwudziestu pięciu lat polityczna agenda na Wyspach kreowana jest przez prawicowe media, które thatcheryzm uważają za dogmat, uznając wszelkie inne poglądy za bezwartościowe, uzasadniając w ten sposób bezkompromisową brutalność skierowaną na oponentów.

„Daily Mail” zaś to samozwańczy strażnik wąsko rozumianych i definiowanych za Margaret Thatcher „brytyjskich wartości”. W taki właśnie sposób Jon Steafel, redaktor naczelny dziennika, tłumaczył decyzję druku tekstu zarzucającego Ralphowi Milibandowi brak patriotyzmu. I dorzucił, że lewica, która sama bezpardonowo atakuje Żelazną Damę, nie ma prawa protestować, kiedy jest krytykowana w podobnym duchu. Brytyjska prawica wykorzystuje ostre wpisy, które pojawiły się w trakcie ceremonii pogrzebowych Thatcher. Brutalność niektórych tekstów, które ukazały się w tamtym czasie, umożliwiła prawej stronie nie tylko symboliczne wyrzucenie umiarkowanych, ważących słowa i gesty krytyków polityki Żelaznej Damy poza nawias debaty w głównym nurcie, ale także zagrzała do politycznego boju. Mimo wszystko jednak wyciąganie wniosku na podstawie zupełnie niewinnych zapisków 17-latką, że „nienawiść” do Wielkiej Brytanii przeszła z ojca na syna, to radykalny publicystyczny ekstremizm, który łamie zarówno dobry obyczaj, jak również zasady demokratycznej polemiki. I chociaż polityczny efekt był zupełnie odmienny od zamierzonego – Ed Miliband uzyskał wsparcie zarówno od Camerona i Nicka Clegga, jak i od opinii publicznej – to jednak puszka medialnej Pandory została otwarta. „Daily Mail” stał się forpocztą przemian na brytyjskiej scenie politycznej, przybliżając Wyspy do medialnych standardów dominujących w Polsce i w USA.

Rację miał Peter Wilby, który pisał po upadku brukowca „News of the World”, że zamknięcie pisma Murdocha przyczyni się do wzmocnienia pozycji „Daily Mail”, który jest o wiele bardziej niebezpieczny dla życia społecznego niż tabloid żerujący na celebrytach. To być może zapowiedź powolnej agonii poważnej debaty w Wielkiej Brytanii i przy okazji racjonalnej polityki. Zdegenerowane media zdegenerują życie społeczne, polityczne i gospodarcze. Wykoślawią demokrację.

Autor: Radosław Zapałowski

Źródło: [eLondyn](#)